

ANDRZEJ CIAŻĘŁA

Akademia Pedagogiki Specjalnej w Warszawie

Naukowa przyzwoitość i tradycje polskiej lewicy.
Kilka zasadniczych uwag na temat książki
Michała Siermińskiego *Dekada przelotu*.
Polska lewica opozycyjna 1968–1980.
Od demokracji robotniczej do narodowego paternalizmu

ABSTRAKT

Celem artykułu jest dogłębna analiza książki Michała Siermińskiego o tzw. lewicy opozycyjnej epoki realnego socjalizmu lat 1968–1980, w tym jej „Posłowia” autorstwa Zbigniewa Marcina Kowalewskiego. Autor zwraca uwagę na nader wątpliwe pod względem naukowym i etycznym kwestie, które stawiają pod znakiem zapytania wartość książki. Wedle autora, książka ma rozliczne mankamenty, m.in. warsztatowe. Krytykuje on jej nacechowanie ideologiczne, pokrewne neotrockizmowi, abstrahującymi od realiów geopolitycznych zimnej wojny i międzynarodowych zmagania między komunizmem a kapitalizmem. Słabością opisywanej pracy jest niedostrzeżenie historycznych uwarunkowań realnego socjalizmu w państwach komunistycznych/socjalistycznych.

SŁOWA KLUCZOWE

leninizm, Polska Rzeczpospolita Ludowa, Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Leszek Kołakowski

ABSTRACT

Aim of this article is close reading of the Michał Siermiński's book on so-called left-wing opposition during real socialism period in the years 1968–1980, and its „Afterword” by Zbigniew Marcin Kowalewski). Author claims, that value of the book is very dubious – as in research aspect as in academic ethics aspect, and scientific technique. Author is focused on ideological dimension of Siermiński's and Kowalewski's work, their neo-Trotskyist skew, lack of understanding of the geopolitical reality of the Cold War and international competition between communism and capitalism. Other weakness of the book is not recognizing historical existential circumstances of communist/socialist countries.

KEY WORDS

Leninism, People's Republic of Poland, Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Leszek Kołakowski

CYTOWANIE

Ciążela Andrzej (2016). Naukowa przyzwoitość i tradycje polskiej lewicy. Kilka zasadniczych uwag na temat książki Michała Siermińskiego *Dekada przełomu. Polska lewica opozycyjna 1968–1980. Od demokracji robotniczej do narodowego paternalizmu*. „Studia Krytyczne” NR 3: 169–195.

– No a wszystko służy walce o władzę i niczemu poza tym. Jak od początku świata. Swoją drogą ten mały grubasek posunął się w walce o władzę cholernie daleko. Zaryzykował, że nie będzie miał w ogóle czym władać. – August przypalił kolejnego papierosa, zostawiając palącego się peta na brzegu popielniczki i patrząc w przestrzeń. – To jedyna słuszna metoda, kiedy się ma mało szans. Rozwalić dom w gruzy, żeby go odziedziczyć. Może to i sposób. – Zamyślił się jeszcze bardziej. – Tak może to i sposób (Bojarska 1995: 67).

Wprowadzenie

Muszę przyznać, że na książkę Michała Siermińskiego od chwili spotkania się z pierwszymi zapowiedziami czekałem z wielką niecierpliwością. Jego artykuł „Leszka Kołakowskiego słuszne poglądy na wszystko” (Siermiński 2015) zdawał się zapowiadać poważną refleksję nad rozwojem polskiej filozofii i myśli społecznej tam, gdzie zdrowego rozsądku najbardziej brakuje, a więc w badaniach nad myślą Leszka Kołakowskiego.

Książka przyniosła (nie tylko pod tym względem) wielkie rozczarowanie. Po pierwsze uświadomiła mi, że metoda autora artykułu polegająca na dokładnym, bardzo ograniczającym komentarzu odautorskim referowaniu pozwala na bardzo różne czytelnicze interpretacje prezentowanych treści. Po drugie okazało się, że tego wszystkiego co zawierał artykuł, w ogóle w niej nie ma i to w żadnej postaci (ani jako wątku, ani jako materiału, który został w niej przepracowany, ani jako fragmentu włączonego w tekst).

Uważna lektura skłania natomiast ku stwierdzeniu, że książka Siermińskiego stanowi nie tylko rozczarowanie intelektualne, ale również naruszenie norm etycznych i dobrych obyczajów w nauce. Stawia też pytanie o status dwu zaangażowanych w jego publikację i promocję tytułów „Le Monde diplomatique – edycja polska” i czasopisma „Bez Dogmatu” jako pism respektujących standardy uprawiania nauki, wystawia bowiem na szwank rzetelność intelektualną obu tytułów. Analizując publikację, trudno nie zauważyć bowiem, że oba te tytuły najwyraźniej

zaczyna cechować chów wsobny, jak wiadomo sprzyjający mutacjom i patologiom.

Jest to tym bardziej smutne, że kwestie, którym poświęcona jest książka, są bardzo ważne, i rzetelna dyskusja bardzo by się przydała.

Relacje między autorem i redaktorem oraz kwestia autorstwa książki

Kwestią budzącą zasadnicze wątpliwości są relacje między autorem a redaktorem wydawniczym przekraczające wyraźnie ramy tradycyjnie przyjętych zasad i prowadzące do zasadniczych wątpliwości, co do współautorstwa książki.

Osobą, której pozycja przekracza wszelkie ramy funkcji redaktorskich, nakazując mówić o współautorstwie, jest Zbigniew Marcin Kowalewski. Jest on wymieniony jako redaktor i autor „Posłowia”. Tu pojawia się pierwsza wątpliwość: czy ktoś, kto redaguje tekst, powinien go również komentować?

Jest to pytanie mające charakter otwarty i nie ono jest przedmiotem zastrzeżeń. Zasadnicze wątpliwości budzi to, że „Posłowie” nie jest żadnym komentarzem, ale właściwie wstępem czy też „ideologicznym zorientowaniem” tekstu, który sam z siebie owego „ideologicznego kompasu” nie zawiera, i który dopiero dzięki „Posłowiu” uzyskuje całościowy sens. Można powiedzieć, że mamy do czynienia ze swoistą anamorfą, która czytelna staje się dopiero dzięki ustawionemu w odpowiednim miejscu zwierciadłu. „Posłowie” dopisuje do tekstu ideologię i kontekst, których jest on pozbawiony. Czy jeśli coś jest kluczem czy też zwornikiem książki nie powinno być uwzględnione jako jej element autorski (współautorski)? Czy na tym polega rola redaktora, żeby dostosowywać tekst do swojej pointy?

Jest to tym istotniejsze, że książka traktowana jako „naukowa” zawiera z punktu widzenia rygorów procedur naukowych elementarne konstrukcyjne i metodologiczne błędy.

Po pierwsze, nie zawiera żadnego wstępu o charakterze metodologicznym określającym charakter badań, przeglądu literatury przedmiotu itd., itp. standardowych elementów czyniących pracę naukową. To, co Siermiński traktuje jako „Wstęp”, jest w istocie rozdziałem wprowadzającym o bardzo ograniczonym horyzoncie informacyjnym. Zawiera przy tym bardzo ogólnikowe (i często bałamutne) informacje, które dopiero później, jeśli w ogóle, a często dopiero w „Posłowiu” Kowalewskiego zostają rozwinięte lub wyjaśnione. Rolę aparatu metodologicznego pełnią jedynie odsyłacze do innych pozycji, z reguły pozbawione komentarzy. Sugerują one, że tekst jest zakorzeniony w badaniach naukowych, chociaż niestety nie wiadomo, w jaki sposób, ponieważ omówienie lite-

ratury przedmiotu w tekście w ogóle się nie pojawia. Nie poznajemy polaryzacji stanowisk w żadnej z istotnych kwestii, polemik ani kontrowersji. W efekcie otrzymujemy wywód, który samą swoją pozorną „oczywistością” ma narzucać czytelnikowi przyjęty przez autora punkt widzenia.

Zawierając cały szereg różnego rodzaju pół-, ćwierć-, czy jedna ósma prawd i niedomówień „Wstęp” nie zawiera przy tym, żadnych wyjaśnień metodologicznych, terminologicznych i pojęciowych, żadnej prezentacji kontekstu intelektualnego, historycznego itd. Coś pełniącego taką funkcję i to jedynie w wymiarze historycznym, i w bardzo niedoskonałej postaci, otrzymujemy na końcu tomu, w „Posłowniu”, i to jako opracowanie Kowalewskiego.

O wstępie tłumaczącym metodologię badań, zasady prezentacji i innych tego typu naukowych „wymysłach” redaktor merytoryczny i autor pracy naukowej nie słyszeli, albo też uważają, że zamieszczanie tego rodzaju komentarza do badań ich nie obowiązuje.

W tym kontekście „Posłowie” okazuje się centralnym momentem tekstu. Tekst Siermińskiego jest czymś na kształt lustra, w którym przegląda się myśl Kowalewskiego i co bez niej okazuje się zupełnie niezrozumiałe.

W tym, że ktoś tworzy pod czyimś wpływem nie ma nic osobliwego ani nagannego. Całe pokolenia marksistów, freudystów, lacanistów czy tomistów nawiązują do poglądów swoich mistrzów. Czasem mamy do czynienia z nieuświadomionym w pełni wpływem czyjejs twórczości czy osobowości na własne wypowiedzi. Często bez świadomości tych związków nie jesteśmy w stanie w pełni zrozumieć czytanego tekstu. Z reguły jednak owe filiacje nawet przy bezpośrednich nawiązaniach są zapośredniczone pewnym dystansem między „autorytetem” a „kontynuatorem”. Co więcej, realizacja owych wpływów i zależności nie odbywa się w książkach redagowanych przez owe „autorytety”, a jeżeli już, to mamy jasno określone relacje udziału w opracowaniu tomu przez poszczególnych uczestników procesu twórczego.

W książce Siermińskiego (jak głosi informacja na okładce) konstytutywne znaczenie twórczości i przemyśleń Kowalewskiego nie zostało nigdzie wyjaśnione. Pozycja redaktora książki czyni tę sytuację co najmniej dwuznaczną. Relacja widoczna w tekście przekracza zdecydowanie tradycyjną rozumienie roli redaktora merytorycznego, czy też kogoś nazywanego zwykle redaktorem. Nasuwa się tu analogia z czasami stalinizmu, gdy redaktor odpowiadał za ideologiczną wierność, redagowanej pracy, doktrynie, z tym, że doktryna wydaje się tutaj własna.

Jest przy tym znamienne, że redaktor zredukował z infantylnych elementów z podziękowań (co jest pierwszym i niejako „psim” obowiązkiem redaktora dbającego o poziom tekstu), za to – jak można zasadnie sądzić – „wywalił” pierwszy podrozdział („Leszka Kołakowskiego słuszne poglądy

na wszystko”) z prezentacji myśli Kołakowskiego dlatego, że nawiązano w nim do globalnej rywalizacji między dwoma systemami, które to zjawisko najwyraźniej – zdaniem redaktora – relatywizowało jego tezę, że zasadniczy konflikt tego okresu to antagonizm między klasą robotniczą a warstwą pasożytniczej biurokracji.

Siermiński dziękuje Kowalewskiemu jako „człowiekowi wielkiej idei i wielkiego czynu, wybitnemu znawcy historii ruchów wyzwoleniczych, jednej z najbardziej inspirujących i zasłużonych postaci, jakie pojawiły się na jego drodze” (s. 297), jednak status mentora jest i powinien być czymś innym niż status redaktora.

Bezpośredni związek obu tych funkcji, a jest jeszcze trzecia (zastępca redaktora naczelnego „Le Monde diplomatique – edycja polska”, będącego wydawcą serii, w której pojawiła się książka), czyni całą tę relację wyjątkowo niejednoznaczna etycznie. Nie chodzi tutaj jedynie o dobry smak. Książka ma być naukową i jest dotowana przez państwowa instytucję naukową (Instytut Filozofii Wydziału Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego), a więc powinna być tworzona zgodnie z zasadami etyki badań naukowych i dobrymi obyczajami w nauce, a te zakładają pełną przejrzystość i obiektywność (i jak mówią niektórzy „intersubiektywną kontrolowalność”) procesu powstawania dzieła naukowego jako wytworu procedur naukowych, nie mówiąc już o tak fundamentalnej kwestii jak szacunek dla osobowości i autonomii innego badacza.

Osobliwa „wszechobecna nadobecność” urągająca tym wszystkim dobrym obyczajom i zasadom etycznym procesu wydawniczego nie jest tylko „przywilejem” Kowalewskiego. Również dr hab. Michał Kozłowski, „opiekun naukowy w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego” (s. 297) Siermińskiego okazuje się recenzentem wydawniczym jego pracy. Co ciekawsze, Kozłowski nie zajmuje się historią polskiej myśli politycznej i społecznej, ale współczesną filozofią francuską i z obszaru recenzowanej książki nie posiada żadnego znaczącego dorobku. A jak by tego było mało: zamieszcza również pozytywną recenzję recenzowanej przez siebie pracy w kwartalniku „Bez Dogmatu”, w którym razem z Siermińskim należą do kolegium redakcyjnego (Kozłowski 2016: 29–30).

Jeżeli dodamy do tego, że zarówno „Le Monde diplomatique – edycja polska”, jego seria wydawnicza, jak i kwartalnik „Bez Dogmatu” wydawane są przez ten sam Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”, to wszystko to zaczyna przypominać znaną piosenkę Grzesiuka:

„U cioci na imieninach
Są goście i jest rodzina,
Więc program się rozpoczyna
Do śmiechu. No i do łez.

Wuj Michał jest za magika.
 Szwagierka walczyka fika.
 Brat szwagra odstawia byka,
 A zięć torreadorem jest.

Jest to sytuacja żenująca, świadcząca o upadku tzw. dobrych obyczajów w nauce, gdyż o ile redaktor Kowalewski nie jest pracownikiem naukowym, a raczej dziennikarzem – samoukiem o swoistych dla samouctwa ograniczeniach właściwych „myśli nieoswojonej”, to Kozłowski jest takowym, a więc zasady dobrych obyczajów w nauce nie powinny być mu obce.

Dzieło budowane na zasadach chowu wsobnego, oparte na unikaniu wszelkiej oceny zewnętrznej i lansowane w sposób „bezpruderyjny” przez swoich „opiekunów” budzić musi podejrzenia co do swej wartości merytorycznej. Niestety są one uzasadnione.

Pytanie o metodologię, aparat pojęciowy i konteksty

Opracowanie Siermińskiego podejmuje wyjątkowo złożoną problematykę z pogranicza tzw. „historii idei”, ew. historii myśli społecznej i politycznej, historii filozofii, historii ideologii politycznych, historii politycznej Polski dwudziestego wieku, historii kultury, historii kultury politycznej itd. Wielość obszarów badawczych sugerowałaby refleksję metodologiczną, pewne definicje i budowę jakiegoś aparatu pojęciowego, ponieważ nawet samo określenie „lewica opozycyjna” w stosunku do prezentowanego obiektu badań okazuje się o tyle wątpliwe, że w sensie procesualnym następuje reorientacja, która czyni określenie tej formacji jako lewicowej już w roku 1968 nieuprawnionym. A więc w sensie ścisłym należałoby mówić o procesie odwrotu jakiejś formacji politycznej z pozycji lewicowych.

Tytuł sugerowałby takie rozwiązanie, ale to wymagałoby postawienia pytania o charakter „lewicowej opozycji” w latach 1968–1988, gdyż „lewica”, o której mówi tytuł, byłaby w istocie antysystemowa, a nie opozycyjna. Rządy w Polsce w latach 1944–1989 sprawowała autorytarna dyktatura o oczywiście lewicowym charakterze. W łonie PZPR, która nie była nigdy politycznym monolitem, nie trudno byłoby wskazać środowiska, które w stosunku do polityki kierownictwa, miały charakter lewicowo-opozycyjny, wymagałoby to jednak jakiegoś aparatu analitycznego, który w pracy nie istnieje, oraz jakiegoś zarysowania obrazu PZPR, jej miejsca w historii, struktury, mechanizmu działania, polityki, ideologii, związków z ZSRR, udziału w rewolucji światowej itd., itp. Nic takiego się nie pojawia. Hasła „Gomułka”, „Gierek”, „totalitaryzm” i oczywiście „biurokracja” mają maskować nieobecność analizy zasadniczego kontekstu omawianych treści.

Podobnie niejasną jest formuła „narodowego paternalizmu” w rozwinięciu podtytułu „Od demokracji robotniczej do narodowego paternalizmu”, które to określenie jest głęboko niejasne i raczej należałoby tu mówić o idei sięgnięcia po antykomunistyczną hegemonię narodową, a więc skonstruowania takiego układu haseł i sojuszy, który mógłby zostać skutecznie przeciwstawiony idei hegemonii narodowej proponowanemu przez PPR–PZPR od 1943 roku. W tym znaczeniu rzuceniem rękawicy były antyradzieckie (antyrosyjskie) ekscesy na przedstawieniu „Dziadów” w marcu 1968, co tłumaczy wściekłość Władysława Gomułki i charakter akcji skierowanej przeciwko wszystkim, którzy poparli „komandosów” (lub tych, których wciągnęli oni w krąg swoich działań).

W miejsce poważnej analizy dowiadujemy się, że środowisko określane jako „komandosi” przeżyło w marcu 1968 roku „szok”. „Komandosów” poznajemy po nazwisku, ale dlaczego akurat są określani jako „komandosi” już nie wiadomo. Podobnie funkcjonuje ów „szok” związany z „antysemicką” kampanią podjętą przeciw nim. O co chodziło, autor nawet nie usiłuje wyjaśnić. Co więcej, nawet wyjściowa dla całej koncepcji i konstrukcji pracy formuła „demokracji robotniczej” nie zostaje jakoś czytelnie przedstawiona, a jedynie zasygnalizowana podobnie jak swoście „mityczny” „List otwarty do Partii” i na ich pełniejsze, aczkolwiek dalekie od metodycznej analizy, przedstawienie musimy poczekać na rozważania Kowalewskiego w „Posłowie”.

Wszystkie zjawiska i procesy omawiane w książce wyłaniają się z jakiejś mgły napomknień i niedopowiedzeń. Coś, gdzieś o nich powinniśmy wiedzieć i do tej wiedzy potocznej odwołuje się Autor wyprowadzając z półcienia postaci bez historii i bez przeszłości, które sobie ich dopiero poszukują. Nic dziwnego zatem, że owi dotknięci amnezją nieszczęśnicy pozbawieni przeszłości próbują ją sobie budować. Autor nie potrafi spojrzeć na ten proces jako na cykl ideologicznych autokreacji mających narzucać zideologizowaną wizję historii. Autor wierzy im na słowo. Opisuje, jak ogarnięty amnezją Adam Michnik czytał Cywińskiego i odkrywał „Cienie zapomnianych przodków”. (Jako dziecko z sierocińca Adam Michnik nie znał przecież swojego ojca ani matki, a wychowujące go w sierocińcu oziębłe zakonnice rodem z „Drewnianego różańca” Natalii Rolleczek ukrywały przed nim jego własne korzenie, tak więc biedak musiał się namęczyć żeby w końcu coś pojąć).

Nawet wtedy, gdy gra pojęciami, bije w oczy, np. w sformułowaniu Jacka Kuronia autodefiniującego siebie jako „zawodowego opozycjonisty” autor nie dostrzega cienia „zawodowego rewolucjonisty” stanowiącego podstawę leninowskiej „partii nowego typu”. Pytanie: czego Autor nie dostrzega, a co umyślnie ignoruje, okazuje się centralnym pytaniem całej tej pracy, ponieważ nie tylko czasowo, ale i przestrzennie opracowanie budzi zasadnicze wątpliwości.

Walka klas jako motor dziejów

Wyjściową formułą opracowania, z którą nie zamierzam polemizować, i z którą się zgadzam, jest teza, że motorem rozwoju historii jest walka klas. Moja aprobata, niestety, na tym się kończy, gdyż przełożenie tej tezy na analizę historycznego konkretnego wymaga refleksji i precyzji, a przede wszystkim ukazania konkretnego układu historycznych zaszłości, które decydują o takim a nie innym rozwoju wydarzeń.

Klasy społeczne to według najbardziej tradycyjnego ujęcia wielkie grupy ludzi, które różnią się między sobą historycznie określonym miejscem w systemie produkcji, stosunkiem do środków produkcji i sposobem otrzymywania części bogactwa społecznego.

Problem polega jednak na tym, że te wielkie grupy, żeby odgrywać czynną rolę w historii, muszą się integrować i tworzyć poczucie wspólnoty umożliwiającej im organizację działania. Już Karol Marks mówił o istnieniu „klasy w sobie” i „klasy dla siebie”. O ile klasa w sobie jest czymś oczywistym, co wynika z określonych relacji organizacji wytwórczości, o tyle klasa dla siebie już nie. O ile opisywanie pierwszej może odbywać się na poziomie analizy ekonomiczno-socjologicznej, o tyle analiza drugiej musi brać pod uwagę określony zakres podmiotowej działalności rozwijającej się w czasie niepowtarzalnego procesu historycznego. Kwestią dodatkowo wymagającą analizy jest w tym momencie jeszcze adekwatność własnych wyobrażeń klasy w stosunku do jej położenia i zdolność do wytwarzania w miarę adekwatnych poglądów na własne położenie.

Zasadniczą tezę poglądów Siermińskiego/Kowalewskiego jest niezwykle kontrowersyjny i trudny do obrony pogląd, że po roku 1917 w krajach, w których zwyciężyła rewolucja komunistyczna, zasadniczym konfliktem klasowym organizującym historię był konflikt między proletariatem (klasą robotniczą) a pasożytniczą warstwą biurokracji (porewolucyjną biurokracją).

Geneza takich poglądów wiąże się z tym, że Karol Marks formułując postulat rewolucji proletariackiej, wychodził z założenia, że rewolucja klasy robotniczej musi mieć światowy charakter, gdyż rewolucja w jednym kraju wciągałaby rewolucjonistów w konflikt międzynarodowy, który wymuszałby istnienie państwa, armii itd., które faktycznie oznaczałyby budowę aparatu władzy stojącego nad proletariatem, co oznaczałoby w istocie stosunki przekreślające efekty tej rewolucji.

Problem polegał na tym, że historia potoczyła się tak, że rewolucja, która wybuchła w roku 1917 jako światowa, nie zwyciężyła w skali światowej, ale również nie upadła, a zaczęła się przeciągać. Sytuacja ta skłoniła rewolucjonistów do uznania, że w praktyce rozpoczęcie rewolucji oznacza początek rewolucyjnego procesu, którego efektem może być albo ostateczne zwycięstwo, albo klęska w dłuższym okresie dziejowym.

Powstała więc sytuacja, która w sensie realizacji projektu Marksa nie pozwalała się jednoznacznie ocenić, gdyż można było powiedzieć, że oto rewolucja w jednym kraju stwarza władzę stojącą nad klasą robotniczą, z drugiej, że rewolucja permanentna jest jedyną realną drogą realizacji rewolucji proletariackiej i to pociąga za sobą określone koszty.

Zdecydowana większość uczestników rewolucji i twórców porewolucyjnych porządków uznała za decydujący konflikt między światową burżuazją a światowym proletariatem, a za centralne zadanie – rewolucję światową. Po pierwsze, powodowało to, że robotnik wyzyskiwany przez rewolucyjny aparat władzy ofiarowywał w jego rozumieniu wartość dodatkową dla globalnego zwycięstwa. Po drugie, narzuciło ruchowi rewolucyjnemu swoistą internacjonalistyczną, międzynarodową, specyficzną komunistyczną postać i organizację, której symbolem stał się Komintern – globalna organizacja jednocząca komunistów ze wszystkich krajów w rewolucyjną globalną armię. Problem biurokracji jako elementu nowej rzeczywistości miał z tej perspektywy charakter drugoplanowy.

Reformiści, którzy nie podjęli hasła rewolucji światowej, socjaldemokraci kontynuujący tradycję II Międzynarodówki generalnie uważali całą rewolucję 1917 roku za awanturnictwo i nie wiązali z nią większych nadziei, uważali bowiem, że drogą przebudowy są reformy w państwach, w których klasa robotnicza stanowi rzeczywistą siłę społeczną i w tym sensie ich reforma też miała charakter globalny, a to co działo się po zwycięstwie rewolucji rosyjskiej miało marginalne znaczenie. Jak wiadomo słabością socjaldemokratów okazało się niedocenywanie sprężystości kapitalistów jako klasy dla siebie i złudność nadziei, że władzę oddadzą bez bezwzględnej walki, ale to ujawniło się dopiero w trakcie późniejszej historii zbliżając część socjaldemokratów do komunistów.

Wobec rewolucji komunistycznej reformizm nie zajmował jednolitego stanowiska. Istniało i istnieje poczucie wspólnej tradycji i relacja „syna marnotrawnego” i „przebaczącego ojca”, obojętne, kto akurat miał być jednym, a kto drugim. Dominował pragmatyzm walka o władzę, współpraca, a nawet zmienianie barw w zależności od rozwoju wydarzeń i kalkulacji politycznych. Pewną rolę odgrywało skrajne stanowisko głoszące, że najlepszą drogą ku socjalizmowi jest obalenie rewolucji komunistycznej jako patologii zakłócającej „normalny” rozwój procesów dziejowych. Za jej narodziny uznać można tzw. powstanie kronsztadzkie w 2–17 marca 1921 roku z jego hasłem „rad bez komunistów”.

Ponieważ obalenie komunizmu okazało się bardzo kosztowne i mało efektywne, utopia ta faktycznie wegetowała na marginesie życia politycznego do początku lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy to kryzys „bloku wschodniego” po śmierci Stalina zdawał się nadawać jej pozory realności.

Niewątpliwie stanowisko to, od samego początku ignorujące realia polityczne i rzeczywisty układ sił, można określić jako aberrację intelektualną wyolbrzymiającą zarówno głębokość napięć społecznych w „bloku wschodnim” i wynikającego stąd rewolucyjnego potencjału, siłę proletariatu państw Zachodu jak domniemaną słabość kapitalizmu. Jej odbiciem stał się pierwszy manifest polityczny Jacka Kurońa i Karola Modzelewskiego „List otwarty do Partii” (*List...* 2008).

Kowalewski i Siermiński nawiązują bezpośrednio do tej tradycji. Pierwszy z nich czyni to bezpośrednio w „Posłowie”. Istotę jego poglądów, jak sądzę, najlepiej ujmuje następujący wywód:

„Zdławienie rad zakładowych było nieodzownym warunkiem ustanowienia, zabezpieczenia i utrwalenia specyficznej dla panowania biurokracji „formy, w której praca dodatkowa jest wyciskana bezpośrednich wytwórców” (Marks). Biurokracja ta nie była klasą panującą, której władza polityczna jest pochodną władzy ekonomicznej, a jedynie warstwą pasożytniczą, której władza ekonomiczna jest pochodną władzy politycznej. Wdrożenie i reprodukcja stosunków wyzysku wymagały zatem permanentnego stosowania przymusu pozaekonomicznego (politycznego). Wyzysk klasy robotniczej był niemożliwy bez tego przymusu, a on wykluczał wszelką formę demokracji robotniczej oraz niezależnej organizacji robotniczej oraz niezależnej organizacji robotniczej – nie tylko politycznej ale również związkowej. Jacek Kuroń i Karol Modzelewski stwierdzają w swoim *Liście otwartym*, że »klasa robotnicza nie ma żadnego wpływu na rozmiary produktu dodatkowego, jego podział i wykorzystanie«, ponieważ »jest pozbawiona wpływu na decyzje władzy dysponującej środkami produkcji i samym produktem«. Zarazem »wszelka organizacja (porozumienie robotników) mająca na celu walkę o płace jest nielegalna i jako taka ściągana przez aparat i możliwości kontroli. – policję, prokuraturę, sądy. Produkt dodatkowy jest zatem odbierany klasie robotniczej przemocą«, to znaczy środkami przymusu pozaekonomicznego, »rozmiarach nie przez nią wyznaczanych i wykorzystywany poza zasięgiem jej wpływów i możliwości kontroli«. Kuroń i Modzelewski stwierdzają dalej, iż »że robotnik jest wyzyskiwany”: wytworzony w toku pracy dodatkowej – wyobcowanej (wyalienowanej) u młodego Marksa – »produkt jego własnej pracy przeciwstawia mu się jako siła obca i wroga«” (s. 320).

Co by o zaprezentowanym opisie nie powiedzieć, to cała ta analiza grzeszy abstrakcyjnością i ahistoryzmem i jeśli pasuje do jakichś realiów, to być może do współczesnych Chin albo Korei Północnej (choć zaznaczam, że nie znam tych realiów i wiedzę o nich czerpię jedynie z mediów). W odniesieniu do polskich realiów w latach 1944–1989 problem nieadekwatności opisywanych relacji do realiów polega na tym, że owe stosunki wyzysku miały charakter bardzo zracjonalizowany i właśnie ograniczający ową „alienację” do minimum. Pensje robotnicze miały charakter zrównoważony, zracjonalizowany, a różnice wynagrodzeń pod-

dane były kontroli. Działo prawo pracy gwarantujące szeroki katalog zabezpieczeń praw robotniczych i – co więcej – było one egzekwowane. Istniał pakiet zabezpieczeń socjalnych i zdrowotnych, urlopy i zorganizowane formy wypoczynku. Bezpłatna edukacja i rozwijanie ambitnej oferty upowszechniania kultury. W sumie doświadczenie wyalienowania władzy jako „siły obcej i wrogiej” było sporadyczne i częściej dotyczyło np. kwestii swobody wyznania niż bycia członkiem klasy robotniczej.

Co więcej, klasa robotnicza ulegała jeszcze innym zasadniczym przemianom. Wskutek wojny, rewolucji i budowy rewolucyjnego aparatu władzy traciła dużą część swojej liczebności i swojej historycznej tożsamości. Na te same miejsca pracy przychodzili nowi ludzie. Realizowanie programów industrializacji nie tylko powodowało rozrost liczebny klasy robotniczej jako klasy w sobie, ale również kopało przepaść między klasą w sobie a klasą dla siebie, jaka była tego skutkiem.

W tej sytuacji wszystko ogniskowało się wokół partii komunistycznych jako wytworu klasy robotniczej wytwarzającego klasę robotniczą. Wytwór ten był czymś, co w różnych sytuacjach i pod wpływem różnych procesów, podlegało manipulacjom i procesom żywiołowym o różnych efektach. W istotnym wymiarze efekty tych procesów w stosunku do historii Polski podsumowywał Adam Ważyk (1982: 122–123) w „Poemacie dla dorosłych” pisząc:

„Wielka migracja przemysł budująca,
nie znana Polsce, ale znana dziejom,
karmiona pustką wielkich słów, żyjąca
dziko, z dnia na dzień i wbrew kaznodziejom
– w węglowym czadzie, w powolnej męczarni,
z niej się wytapia robotnicza klasa.
Dużo odpadków. A na razie kasza”. (Ważyk 1982: s. 122–123)

W rewolucyjnej Rosji pod presją partii komunistycznej i jej aparatu tworzono zrab klasy robotniczej na miarę ich oczekiwań. W Polsce, gdzie owa zmasowana presja załamała się szybko i jej miejsce zajął żywiołowy rozwój procesów świadomości klasowej, i co ważniejsze, niekoniecznie klasowej, gdyż walki klasowe jako takie stały się marginesem życia robotniczego. Władza ustalając reguły prawa pracy, prawa socjalne i rynek pracy pracownika czyniła codzienną walkę klasową zbędną. Robotnik miał najczęściej to, co inni, a jak mu się nie podobało, to mógł sobie zmienić miejsce pracy czy zamieszkania. Dla dużej części robotników status robotnika wiązał się z awansem społecznym, jakim było opuszczenie przeludnionej wsi i znalezienia nowego miejsca pracy w mieście. Ważną rolę pełnił również awans w szeregi owej „biurokracji rewolucyjnej”, której znacząca część wywodziła się ze środowisk robotniczych i chłopskich.

Znacznie większą rolę w kształtowaniu się świadomości klasy robotniczej odgrywały tożsamość i status, coraz większą rolę zaczynały odgrywać w tych procesach Kościół i narodowa tradycja, oraz ekspansja kultury popularnej, w tym płynącej z przeciwnej strony tzw. żelaznej kurtyny. Media, o czym warto pamiętać, znajdowały się w Polsce pod bardzo selektywną i w istocie bardzo ograniczoną kontrolą.

Problem polegał też na tym, że w krajach, w których zwyciężyła rewolucja proletariacka, robotnicy stanowili zdecydowaną mniejszość społeczeństwa. Rewolucja, która zwyciężyła i zacząć miała rewolucję światową, była w istocie rzeczą rewolucją antyimperialistyczną odwołującą się sojuszu sił, które pod wpływem pierwszej (a następnie drugiej) wojny światowej utraciły wiarę w hegemonię imperialistycznej burżuazji. W Rosji byli to przede wszystkim chłopcy i lewicowa część inteligencji, gdzie indziej bywało nieco inaczej. W układach sojuszy i logice ich dynamiki tkwi, jak sądzę, mechanizm rozwoju ruchu komunistycznego. Z jednej strony jego niesamowitej dynamiki, z drugiej jego wydawałoby się nieprawdopodobnej ewolucji. Sojusze mają bowiem to do siebie, że wymuszają kompromisy, a często uzależniają swoich uczestników. Tak więc klasa robotnicza często była zmuszona do tolerowania obcych jej zjawisk, ulegała zewnętrznym wpływom, a wpływy komunistów ulegały erozji tworząc osobliwe hybrydy i mutacje od niegdysiejszej Jugosławii poczynając.

W Polsce gwałtownie rosnąca klasa robotnicza stawała się w tych warunkach nieobliczalną siłą polityczną budzącą coraz większe obawy wytwarzającej ją partii komunistycznej.

Trzeba przy tym zaznaczyć, że bać się było czego. PPR/PZPR rozpętała proces industrializacji, który generalnie w ciągu lat jej władzy 1944–1989 doprowadził do tego, że przy wzroście ludności kraju nieco ponad jedną trzecią, przesunął ze wsi do miast jedną trzecią ogółu tej wzrastającej ludności. Realia tego procesu, warto o tym pamiętać, polegały na tym, że przemiany te realizowała lewicowa autorytarna dyktatura, odwołująca się nie tylko w teorii ale również w praktyce, do pojęcia interesu klasy robotniczej i podejmująca wysiłki w celu ich uwzględnienia w największym możliwym ze swojego punktu widzenia zakresie.

Zresztą to rozwój niemożliwych do zaspokojenia aspiracji okazał się czynnikiem destrukcyjnym dla tego lewicowego reżimu. I, zwróćmy uwagę, nie tylko dla niego. Obecny proces załamania liberalnej demokracji w Polsce ma to samo źródło, chociaż owe aspiracje dzisiaj byłoby zdecydowanie łatwiej zaspokoić.

Dlatego też świadomość klasowa, nie rozwijając się w toku walk o bezpośrednie życiowe interesy, pozostawała słabo rozbudzona i abstrakcyjna. Stan ten utrzymywał się również dlatego, że w przypadku konfliktów na szerszą skalę lat 1956, 1970, 1976 i 1980 władza biurokracji stosowała

uniki i jedynie w bardzo ograniczonym stopniu i tylko w skrajnych przypadkach odwoływała się do owych eksponowanych z upodobaniem przez Kowalewskiego środków przymusu pozaekonomicznego.

Gdy przyglądamy się analizie Kowalewskiego, jedna rzecz uderza niezwykle mocno. Otóż określa on biurokrację rządzącą Polską jako warstwę pasożytniczą. Czy rzeczywiście Bolesław Bierut, Hilary Minc, Władysław Gomułka, Stefan Jędrzychowski, Józef Cyrankiewicz, Edward Gierek, a nawet Wojciech Jaruzelski reprezentowali tego rodzaju interesy? Biurokracja komunistyczna, która rozpoczęła sprawowanie władzy w 1944 roku, reprezentowała określoną politykę klasową i hegemoniczną wobec innych klas i warstw. Jej celami były industrializacja, społeczna demokryzacja, odbudowa życia narodowego, oraz udział Polski w światowym procesie rewolucyjnym.

Zasadniczym kryterium dla oceny tej biurokracji była jej efektywność. W ramach tego kryterium na czoło wysunęło się z czasem kryterium efektywności podnoszenia poziomu konsumpcji do poziomu produkujących krajów Zachodu, które okazało się dla komunistycznego reżimu zabójcze, nie miały one jednak zbyt wiele wspólnego z owym pasożytnictwem.

Natomiast temu, że istniała biurokracja komunistyczna, nie przeczy to, obok biurokracji niekomunistycznej, istniała również biurokracja pasożytnicza. Nie tylko ona. Przecież aparat państwowy tworzyli nie tylko komuniści, również specjaliści i ludzie nastawieni na karierę, kierujący się bardzo różnymi motywami. Można mówić o biurokracji tzw. patriotycznej, którego to określenia nie należy rozumieć jako antytezy komunizmu, ale raczej jego nieobecności w motywacjach, o biurokracji technokratycznej itd., itp.

Gdy mówimy o biurokracji pasożytniczej to nie potrzeba Marksa, wystarczy Znaniński, który w swoich wczesnych pracach mówiąc o „arystokracji ducha” jako sile napędowej postępu społecznego, podkreślał istnienie towarzyszącej jej „arystokracji pasożytniczej”, a więc ludziach zainteresowanych wciskaniem się w obszar uprzywilejowania związane ze sprawowaniem władzy. Jak pisał: „Prawdziwi twórcy i organizatorowie bogactwa, zarówno jak wielu ludzi przodujących w dziedzinie politycznej, kompromitują się w oczach mas przez to, że solidaryzują się z tą arystokracją pasożytniczą, że są z nią towarzysko kojarzeni, że bronią jej przywilejów równie wytrwale jak swoich własnych, że dostosowują się do jej norm zbytku i wyłączności społecznej” (Znaniński 2013: 104).

Jeżeli przeniesiemy te kategorie na analizę warstwy biurokratycznej w PRL, to mamy do czynienia z konfliktem między różnymi odłami i walkę o odrzucenie politycznego gorsetu, krępującego apetyty biurokracji pasożytniczej dążącej do uwłaszczenia się kosztem majątku zmonopolizowanego w rękach państwa.

Spoglądając z tej perspektywy można stwierdzić, że dzieje biurokracji w PRL-u rozpatrywane z marksowskiej perspektywy anatomii człowieka jako klucza do anatomii mały ukazują w sposób aż zbyt jednoznaczny drogę od krytyki rządów PZPR jako biurokratycznych w 1964 roku do „okrągłego stołu”, szaleństwa prywatyzacji lat dziewięćdziesiątych i imperium „Agory” jako drogę zwycięskiego uwłaszczania się biurokracji pasożytniczej. (Oczywiście jest to tylko, „małpio” złośliwy, heurystyczny eksperyment, ale warto go brać pod uwagę rozprawiając o biurokracji. Tym bardziej, że pasożytnicze skłonności ujawniają się w bardzo często w drugim pokoleniu rewolucyjnej biurokracji zdemoralizowanej realiami sprawowania władzy. Wszyscy słyszeli o Monice Jaruzelskiej czy Andrzeju Jaroszewiczu, pytanie dlaczego Karol Modzelewski, Adam Michnik czy Jacek Kuroń nie są analizowani w tych kategoriach pozostaje otwarte).

Kowalewski konsekwentnie i ostentacyjnie ignoruje fakt lewicowego charakteru biurokratyczno-komunistycznego autorytaryzmu i jego międzynarodowe zakorzenienie. Ujawnia też przy tym ograniczenia i oderwanie od realiów uznawanego przez siebie za kluczowy dokument historii PRL, a mianowicie „Listu...” Kuronia i Modzelewskiego, którego mieliżny intelektualne i polityczne jednoznacznie wskazują, że ich adresatem nie był polski robotnik i lewicowy inteligent, ale zachodni korespondent, dla którego, jak sądzę, przeznaczone były owe wszystkie radykalne hasła rewolucji światowej w krajach „bloku wschodniego” i „przemysłowego Zachodu”.

Oczywiście Kowalewski, jako osoba o głęboko antykomunistycznych przekonaniach, traktuje wystąpienie Kuronia i Modzelewskiego całkowicie serio i, co więcej, traktuje je z pełną atencją jako rzekomy „twórczy marksizm”, podnoszący dyskusje na teoretyczne wyżyny jakoby innym marksistom niedostępne. Ale czytając ten list z perspektywy jakiej takiej znajomości realiów PRL, trudno nie zadać sobie pytania, czy to co się w nim znajduje, było pisane jako rzeczowa analiza czy też było formą wyrachowanej prowokacji politycznej? Z tego co wynika z listu, PZPR miała obalić swoje kierownictwo, które podobno zaczęło pasożytować na klasie robotniczej, a tak naprawdę miała obalić i unicestwić samą siebie.

Z tej perspektywy generalizowanie określenia biurokracja pasożytnicza na całą warstwę biurokracji w PRL sprawia wrażenie zabiegu socjotechnicznego analogicznego do tego, który onegdaj naziści zastosowali wobec ludności żydowskiej. Nie sposób utrzymywać, że wszyscy Żydzi byli wzorami cnót, ale stawianie równości między określeniem Żyd a pasożyt prowadziło do odpersonalizowania i odczłowieczenia obiektu tej operacji, będących wstępem do eksterminacji. Stawianie znaku równości między biurokracją a pasożytnictwem było, jak wynika z całokształtu poglądów Kuronia i Modzelewskiego z czasów „Listu...”, swoistym święceniem rewolucyjnych noży. Co więcej, biorąc pod uwagę napomknienia o węgierskiej

klasie robotniczej, można nawet domyślać się, że rozwiązaniem wcale nie obcym Kuroniowi i Modzelewskiemu byłaby „rewolucja” na wzór buda-peszteński, w której komunistyczna biurokracja mogłaby zawisnąć na latarniach – zgodnie z praktykowanym tam od 1919 roku obyczajem.

Czy polityczna głupota i naiwność usprawiedliwiają zainicjowanie takiej dyskusji? Być może, ale nie koniecznie. Biorąc po uwagę styl sprawowania władzy przez Gomułkę można było się spodziewać, że zareaguje, ale ze względu na opinię międzynarodową nie będzie to reakcja zbyt dotkliwa, a to, że ktoś chce go powiesić na latarni jako zdrajcę i wyzyskiwacza klasy robotniczej, nie będzie zbyt eksponowane na forum publicznym. Być może autorzy chcąc zyskać popularność tanim kosztem, nieco się przeliczyli. Koszt może nie był mały, ale zyski oczywiste. Jacek Kuroń i Karol Modzelewski wyłonili się trwale z anonimowej masy rozpolitykowanych studentów.

Osobiście sędzę, że strategię tego wystąpienia określa strategia prowokacji znana najbardziej z życia artystycznego. Był to skandal, którego celem było skoncentrowanie uwagi na organizatorach. Niestety, bardzo trudno zaistnieć inicjując poważną dyskusję naukową czy polityczną.

Nie chciałbym obrażać tym porównaniem, niewątpliwie ciekawej artystki, Doroty Nieznalskiej, gdyż w skandalu z jej „Pasją” dużo było przypadku, w przeciwieństwie do skandalu z „Listem...” Kuronia i Modzelewskiego, ale końcowy efekt był podobny. Warto też zwrócić uwagę, że o Nieznalskiej, niestety, przycichło i przydałby się jej karierze nowy skandal, tak jak w przypadku Kuronia i Modzelewskiego, którzy nie dali publiczności i mediom o sobie zapomnieć, organizując nowy happening – o nieco już innej tematyce – w roku 1968.

Warto też zwrócić uwagę na eksponowanie rewolucyjnej przemocy, która wprowadza atmosferę teatru okrucieństwa i swoistego rewolucyjnego „sado-maso”, częstego w latach sześćdziesiątych. (Element ten w dalszej działalności „komandosów” uległ odwróceniu i sytuowanie się w miejscu kata wymierzającego biurokracji rewolucyjną sprawiedliwość zajmuje już w 1968 wyraźnie lokowanie się w pozycji ofiary obrzydliwych komunistycznych oprawców).

Prawdę mówiąc, najciekawszym wątkiem jaki warto by w tym artystyczno-prowokacyjnym kontekście przebadać, jest wyraźne pokrewieństwo (paralelizm?) „Listu...” z równoległe rozwijanymi koncepcjami jednego czołowych teoretyków Międzynarodówki Sytuacjonistów Guya Deborda, przedstawionymi w „Społeczeństwie spektaklu” (1967), gdzie padają formuły niezwykle podobne i np. w kontekście konfliktu radziecko-chińskiego:

„Od tej chwili każda rządząca biurokracja musi iść własną drogą. Dotyczy to również partii totalitarnych marzących o zdobyciu władzy (tych na przykład, które

w okresie stalinowskim zaszczepiono klasie robotniczej kilku krajów). Jeśli dodać do tego wewnętrzny sprzeciw – który wystąpił na arenie świata wraz z buntem wschodniobierlińskich robotników, przeciwstawiających biurokracji żądanie »władzy metalowców«, a na Węgrzech przybrał już nawet postać suwerennych rad robotniczych – stanie się jasne, że rozpad światowego sojuszu biurokratycznej mistyfikacji to, w ostatecznym rachunku, największe zagrożenie dla obecnego rozwoju społeczeństwa kapitalistycznego. Burżuazja traci właśnie przeciwnika, który fałszywie ucieleśniał jedyny możliwy sprzeciw wobec panującego ładu, a tym samym obiektywnie ją wspierał. Ten podział pracy między dwiema wzajemnie się podtrzymującymi formami spektaklu nie może się dłużej utrzymać, gdy sam obóz pseudorewolucyjny zaczyna się dzielić. Spektakularne środki unicestwiania ruchu robotniczego są skazane na unicestwienie” (Debord 2006: 88).

I też najlepszym miernikiem wartości owego głęboko surrealistycznego dokumentu, jakim był „List...” są jego dalsze losy, mianowicie bardzo szybkie i definitywne wylądowanie na śmietniku historii, z którego podejmują go dopiero dzisiaj młodzi ludzie ogarnięci gwałtowną potrzebą konformizmu realizującego się w antykomunistyczno-antypeerelowskiej „liberalno-lewicowej” poprawności politycznej.

Duet Siermiński-Kowalewski może oczywiście wierzyć, że to konflikt biurokracji z klasą robotniczą miał charakter zasadniczy dla ówczesnej historii, ale na gruncie badań naukowych należałoby to metodycznie udowodnić. Problem polega jednak na tym, że zamiast rzeczowej dyskusji mamy nie opartą na żadnej analizie deklarację, że stanowisko Kuronia i Modzelewskiego było jedynym istotnym lewicowym i marksistowskim stanowiskiem w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdyż poza nim nie funkcjonowało nic istotnego. Jak stwierdza Siermiński – odwołując się do Kowalewskiego:

„Znamienne że nawet wydarzenia z Grudnia '70 i pierwszych miesięcy 1971 roku – a więc bezprecedensowa kapitulacja władzy w obliczu wielkich walk robotniczych – najmniejszym stopniu nie wpłynęły na proces definitywnego odchodzenia od marksizmu. Jak pisze Zbigniew Marcin Kowalewski: »To niezwykle paradoks – przecież wielkie walki klasowe z reguły wywierają ożywczy wpływ programowy i polityczny na środowiska lewicowe« (Z.M. Kowalewski, *Sierpień – zdradzona rewolucja*, „Nowy Robotnik”, 2005, nr 7, s. 9) W ocenie cytowanego autora Grudzień '70 był tak ogromnym wstrząsem, że mimo – w istocie bardzo względnego – rozładowania napięcia przez Edwarda Gierka, nowego przywódcę PZPR, powinien był zaowocować przynajmniej rozwojem środowisk rewolucyjnych i powstaniem opozycji lewicowo-radykalnej, jeśli nie od razu pojawieniem się chociażby załączka partii rewolucyjnej. Tymczasem zauważa Kowalewski – nic takiego się nie stało” (s. 23).

Cała zagadka sytuacji przedstawionej przez Siermińskiego w rozważaniach Kowalewskiego znika, gdy zgodnie za historyczną prawdą określi-

my „władzę” w PRL, władzę Edwarda Gierka, PZPR jako „lewicowe”, czy też „lewicową dyktaturę” odwołującą się nawet, od czasu do czasu, do określenia „dyktatura proletariatu”, a marksistów, którzy wcale w Polsce nie zniknęli, jako funkcjonujących w tym kontekście. Podobnie po drugiej stronie, a więc opozycji antysystemowej, powiedzieć można, że napędzał ją globalny konflikt między kapitalizmem i socjalizmem. Żyła w blasku fleszy i nieustannej ofensywy medialnej zachodnich mediów, czyniącej z jej działań przejaw światowego konfliktu.

Stosunek rzeczywistej polskiej lewicy i rzeczywistych polskich marksistów do Grudnia '70 wyznaczał w istocie bardzo skomplikowany układ odniesień, racji i rachub, który odbierał im jednoznaczność i wyrazistość. Siermiński i Kowalewski, ponieważ im tak wygodnie, piszą o latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych jakby Polska była jakimś odizolowanym miejscem nie utrzymujących kontaktów ze światem. Jakby nie było nie było niczego istotnego stanowiącego kontekst Grudnia '70. Nie było światowego ruchu komunistycznego, nie było socjaldemokratów, nie było wojny w Wietnamie, nie było masakry komunistów w Indonezji (lata 1965-1966, ok. 500 tys. ofiar śmiertelnych), nie było rewolucyjnej epopei Ernesto Che Guevary (poległ w roku 1967), nie było Salvadora Allende i obalenia jego rządów (1970-73, co najmniej kilka tysięcy ofiar śmiertelnych) nie było konfliktu radziecko-chińskiego itd., itp. Dla Siermińskiego i Kowalewskiego jedynym godnym refleksji wydarzeniem były Wydarzenia Grudniowe (ok. 50 do 80 ofiar śmiertelnych).

Gdy nie uwzględnia się sytuacji międzynarodowej nie sposób zauważyć, że Polska na frontach zimnej wojny stanowiła najsłabsze ogniwo „bloku wschodniego”, co sprzyjało ukrywaniu własnej słabości. Nadziejom polskiej lewicy i polskich marksistów, że sprawę można załagodzić, że „rozejdzie się po kościach”, że na innych frontach mogą nastąpić sukcesy, które pozwolą wyprowadzić sprawy polskie na prostą. Edward Gierek stał się uosobieniem nadziei, iluzji i obaw polskiej lewicy i polskiego marksizmu.

Biurokracja pasożytnicza, ci, którzy liczyli na upadek władzy biurokracji komunistycznej w Polsce i na wyzwolenie się spod jej kurateli, uwłaszczanie się na upaństwowionych dobrach, odchodzący gremialnie od marksistowskiego kamuflażu, mogliby podjąć idee Kowalewskiego, ale akurat im organizacja klasy robotniczej nie była do niczego potrzebna. Woleli poczekać. Samej klasie robotniczej, takiej jaka była w realiach epoki Gierkowskiej, organizacja rewolucyjna była potrzebna jak przysłowiowemu zającowi dzwonek.

Oderwana od kontekstu „łopatologiczna” wykładnia mechanizmów rozwoju społecznego prezentowana przez Kowalewskiego – a podjęta przez Siermińskiego – stanowi wyjściowy absurd w budowie ideologicznego schematu stanowiącego podstawę „analiz” zawartych w książce.

Osobliwe wyobrażenia Kowalewskiego świadczą tylko o jego niezwykłej zdolności ignorowania oczywistych faktów, którą zaszczyć mu się udało Siermińskiemu.

Z tej właśnie zdolności wynika fundamentalna dla całej konstrukcji ocena zjawiska „Solidarności” i jej charakteru jako ruchu rewolucyjnego skierowanego przeciwko biurokracji, realizująca jakoby diagnozę „Listu...” Kuronia i Modzelewskiego, którzy tę rewolucję (i przy okazji klasę robotniczą) zdradzili, nadając jej narodowy i tradycjonalistyczny charakter.

To, że ruch „Solidarność” wywołany został przez konflikt między rozbudzonym przez kulturę masową konsumpcjonizmem, wyznaczającym aspiracje dominującej części klasy robotniczej, a coraz bardziej niewydolną w tym zakresie władzą komunistycznej biurokracji, całkowicie wystarczy dla zrozumienia jego genezy i mechanizmu. Niestety, nie wszystkie konflikty klasowe mają oczywisty i podręcznikowo-bajkowy charakter i, co więcej, nie wszystkie dobrze się kończą.

Klasa robotnicza w sobie i klasa robotnicza dla siebie to, niestety, bardzo różne zjawiska. Na dodatek w różnych miejscach naszego globu klasa robotnicza padła ofiarą własnego sukcesu. Obawa przed komunizmem doprowadziła do szerokiej gamy ustępstw wobec robotników w krajach Zachodu. Klasa robotnicza bardzo szybko poprawiając swój stan materialny zdemobilizowała się. Partie socjaldemokratyczne i komunistyczne Zachodu stały się jedynie gwarantami osiągniętego sukcesu. Hasła demokracji robotniczej utraciły nawet tę ograniczoną atrakcyjność, którą posiadały wcześniej.

Kontrofensywa kapitału pod hasłami neoliberalizmu, zmierzająca w stronę rozbicia dotychczasowych struktur klasy robotniczej przez ściąganie robotników-gastarbeiterów i ograniczanie zatrudnienia, a w końcu przenoszenie całych zakładów i gałęzi przemysłu poza granice poszczególnych krajów, a czasem i makroregionów geograficznych, dopełniła chaosu.

Intelektualiści, uciekając z tonącego okrętu tradycyjnych organizacji klasy robotniczej, ratunku szukali w postmodernistycznym relatywizmie i iluzji nowych sił politycznych. W efekcie von Hayek i Foucault podali sobie ręce nad pokonanymi resztkami „starej” lewicy. „Nowa Lewica” okazała się jednak jedynie karykaturą „starej”. Przysłowiowym „lewactwem”. Lewica liberalna nie odzyskała pozycji utraconych przez lewicę socjalną. Obecnie kruszy się jej ostatni bastion, pozycja „salonowego lwa” burżuazji, karmionego ochłapami przez dobrodziei pokroju George’a Sorosa czy Adama Michnika.

Toteż usiłuje warczeć na swoich „dobroczyńców”, ale akademickie getta uprawiające feminizm którejs tam z kolei generacji, transgenderyzm, brunonizm latouryzm itd. czy kółka, bo nawet nie towarzystwa wzajem-

nej adoracji pokroju krążka Siermiński – Kowalewski – Kozłowski nie są w stanie wyjść poza oderwane od życia i realnych problemów schematy.

„Rzecz dzieje się w Polsce, czyli nigdzie”

Jedną z najbardziej uderzających cech owego „wyłaniania się z mgły” bohaterów narracji jest niedookreślenie kontekstu w sensie terytorialno-przestrzennym. Miejscem akcji jest obszar pozbawiony jakichś konkretnych definiujących go cech. Jeżeli dowiadujemy się czegoś o ZSRR, to tylko przy okazji. Polska jako kraj należący do bloku wschodniego, uczestniczący w jakichś politycznych rachubach globalnych, faktycznie nie istnieje.

Bardzo pouczające jest tu przywołanie wcześniejszego artykułu Siermińskiego, owych „Leszka Kołakowskiego słusznych poglądów na wszystko”. Stwierdza on tam bowiem omawiając poglądy Kołakowskiego:

„Nie dziwi zatem jego na wskroś manichejska wizja zimnej wojny. »Usiłujemy przetrwać w świecie rozdartym przez konflikt, który nie może uchodzić po prostu za konkurencję wielkich mocarstw walczących o rozszerzenie zasięgu swoich wpływów; jest to zderzenie cywilizacji, zderzenie, które po raz pierwszy w dziejach przybrało rozmiary ogólnoświatowe«. Z jednej strony mamy »naszą cywilizację«, opartą na ideałach wolności negatywnej, zasadach swobodnej działalności gospodarczej i równości wobec prawa, tj. cywilizację, której zawdzięczamy gospodarkę rynkową, filozofię racjonalistyczną, naukę nowożytną oraz liberalne doktryny i instytucje; z drugiej strony – definiowaną jako zaprzeczenie wszystkich wymienionych wartości, niszczyielską i śmiertcioną »cywilizację sowietyzmu«.

Kołakowski sugerował, że w tym konflikcie cywilizacyjnym Polska odgrywa wyróżnioną – a być może wręcz uniwersalną – rolę. W wielu tekstach filozof przekonywał, że Polacy są niejako predysponowani do skutecznej walki z sowiecką władzą, przez co nie tylko przyczyniają się do wyrwania reszty zniewolonych narodów ze szponów radzieckiego imperium, lecz także działają na szkodę ZSRR w jego globalnym zderzeniu ze światem demokratycznym. Na jakich przesłankach wspiera się ten swoisty narodowy mesjanizm?” (Siermiński 2015: 7)

Taki obraz, co należy podkreślić, wyznaczał w ujęciu Kołakowskiego pewne globalne ramy, w których funkcjonowała Polska (na marginesie, też trzeba wyjątkowej głuchoty, żeby nie dostrzec tu refleksu leninowskiej „teorii najsłabszego ogniwa”).

W zależności od tego, czy obraz ten traktujemy jako o obiektywny opis rzeczywistości, czy też jako element strategii mitotwórstwa, będącej konsekwencją Kołakowskiego „filozofii mitu”, możemy opisywać drugą stronę tak czy inaczej, bo skoro istnieje jakiś konflikt globalny, to ma on konkretne przejawy i jakąś logikę.

Całkowite i konsekwentne wymazanie tej perspektywy z książki Siermińskiego jest najbardziej niezwykłym jej momentem. Prowadzi też do dalszych manipulacji.

Przekształcenie się rewolucji „rewolucji światowej” w rewolucję permanentną, o którym pisałem uprzednio, pociągało za sobą daleko idące konsekwencje reorganizujące obóz rewolucjonistów.

Uczyniło to z ruchu zwolenników rewolucji rosyjskiej światowy ruch o bardzo złożonej strukturze i skomplikowanej polityce. Tworzyło konieczność określania ram i konkretnych podmiotów tego procesu. Wyzwoliło również najprzeróżniejsze konflikty i napięcia takie, jak chociażby najbardziej oczywiste – nakłanianie do ofiarności (taką konkretną wykładnię zyskała leninowska koncepcja klasy dla siebie, bądź zdaniem neotrockistów, Castoriadis’a itp. – wyzysk klasy robotniczej) na rzecz owej światowej rewolucji mas robotniczych, konieczność istnienia aparatu władzy rewolucyjnej i kierującej rewolucją oraz aparatu państwowego, możliwość ich biurokratyzacji, stosowanie przymusu i terroru, usamodzielnianie się owej biurokracji w samoistną siłę polityczną i pojawianie się jej różnych odmian (np. komunistycznej, tj. łączących ideologię komunistyczną z biurokratyczną mentalnością, a także apolitycznej biurokracji, kierującej się jedynie własnymi grupowymi i osobistymi interesami) itd. Wszystko to powodowało napięcia i sprzeczności, które nieustannie rozdzierały tzw. blok radziecki i jego sferę wpływów.

Jako pierwszy, w sposób najbardziej wyczułony na sprzeczności, opisał te zjawiska jeden z przywódców Rosji Radzieckiej – Lew Trocki. Stał się on zresztą ich najbardziej znaną ofiarą dlatego, że jego teoria popadała w nierozwiązywalną sprzeczność między walką o władzę a odpowiedzialnością za światową rewolucję.

Biurokracja i imperializm – proletariacki? radziecki? rosyjski? – okazywały się w niej nieuniknionymi kosztami światowej rewolucji. (Podobnie jak „biurokrata” stał się zresztą nieodłącznym elementem radzieckiej kultury masowej na jej wszystkich historycznych etapach).

Obok tego, o czym też nie należy zapominać, zgodnie z leninowską tezą, że „kto pragnie czysto proletariackiej rewolucji, nie doczeka się jej nigdy” proces rewolucyjny stał się również procesem poszukiwania sojuszników, budowania aliansów, ich zrywania, reorientacji, co nadawało polityce – a czasem i ideologii ruchu komunistycznego – swoiście heterogeniczny charakter.

Wszystko to czyniło z komunizmu gigantyczną wielowarstwową szachownicę, gdzie przystępując do gry stawało się pionem lub figurą, pozbawioną autonomii i mającą określone zadania, czytelne jedynie w kontekście całości. Bardzo dobrymi ilustracjami dylematów i problemów rodzących się w tym kontekście mogą być meandry polityczne Diego Rivery i Fridy Kahlo, czy chociażby znane dzieła literackie: Artura Ko-

estlera „Ciemność w południe” (Koestler 1990), Arkadija i Borysa Strugackich „Trudno być bogiem” (Strugacki, Strugacki 1974) czy dramaty Bertolda Brechta „Decyzja” (Brecht 2008; Szydłowski 1973: 286–300) czy „Ten, który mówi tak i ten, który mówi nie” (*Der Jasager und Der Neinsager*) (Brecht 1979; Szydłowski 1973: 286–300), żeby podać najbardziej klasyczne przykłady.

Te procesy pociągały za sobą określone zjawiska ideologiczne określające kierunki i nurty filozoficzne i polityczne definiujące realia, w których działali „bohaterowie” książki Siermińskiego, a do których on zupełnie się nie odnosi. Marksizm-leninizm, komunizm, socjaldemokratyzm, luksemburgizm, trockizm, neotrockizm, stalinizm, Nowa Lewica (żeby nie wymieniać pomniejszych, a czasem istotnych, jak „dialektycy” i „mechanicyści”, austromarksizm czy anarchosyndykalizm itd.). Siermiński obok wyrwanej z kontekstu myśli Róży Luksemburg i marginalnej postaci Jana Wacława Machajskiego zdaje się o całej tej historii nie mieć zbyt jasnego wyobrażenia.

Nie podejmując szczegółowych analiz wypada zwrócić uwagę, że zasadniczą słabością pracy jest nie dostrzeganie tego, że w istocie mamy do czynienia z przyczynkiem do historii neotrockizmu.

Jest rzeczą znamioną, że o ile ortodoksyjny trockizm okazał się pod względem politycznym ślepy m zaułkiem, to neotrockizm, uznający ZSRR za dyktaturę biurokracji nad proletariatem, stawał się bardzo często początkiem drogi na drugą stronę politycznej barykady i bardzo często punktem wyjścia dla wielu niezwykle karier – Kuroń, Modzelewski oraz Michnik nie są tu jakimś wyjątkami. Przez etap neotrockizmu przeszło wielu intelektualistów amerykańskich budujących amerykańską kulturę i ideologię epoki zimnej wojny (por. Barbrook 2009; Guibault, 1992). Neotrockiści, podobnie jak komunistyczni rewizjoniści zorientowani w problemach lewicy, stanowili dla prawicy niezwykle cennych sojuszników i ich kariery często okazywały się zawrotne, nawet w skali światowej, jak zdarzyło się to Kołakowskiemu.

Można powiedzieć, że jedynie, tyleż klasyczni, co niereformowalni, miłośnicy „ortodoksji” pokroju Kowalewskiego, nie potrafiący dostrzec oderwania od realiów neotrockistowskiej formuły ideologicznej mówiącej o konflikcie proletariatu i biurokracji, pozostali przed progiem salonów wielkiej polityki i *mainstreamowej* kultury, tworząc jeden z klasycznych gatunków folkloru politycznego, objający się po marginesach historii XX wieku.

W kręgu „myśli nieoswojonej”

Tekst Kowalewskiego, mający przedstawiać *ex-post* historyczny kontekst i przesłanki opisywanych przez Siermińskiego procesów, budzi

wielowymiarowe poczucie dyskomfortu. Konstrukcja, sposób argumentacji, styl, dobór argumentów i źródeł – wszystko z perspektywy naukowej rzetelności woła o przysłowiową „pomstę do nieba”. Jest przykładem politykierstwa sprzecznego z jakimkolwiek duchem obiektywizmu i metodycznego analizowania zagadnień w duchu nauki. Stanowi klasyczny przykład wiecowego „stawiania na swoim” i demagogicznego osiągnięcia zwycięstw za wszelką cenę.

Pierwszym tego przejawem jest znowu struktura wywodu, a raczej jej brak. Chociaż tekst stanowić ma próbę syntezy dziejów Polski drugiej połowy XX stulecia i ma nawet podtytuł „Polska między rewolucjami i czystkami etnicznymi”. W istocie mamy trzy wyrwane z kontekstu opowieści: „U zarania walki o demokrację robotniczą w Polsce”, „Kontrowersja wokół natury reżimu biurokratycznego”, „Droga do marca '68: Państwo na fundamencie czystki etnicznej”.

Rozdziały poprzedza swoisty wstęp odwołujący się do dorobku T. Łepkowskiego, przeciwstawiający w sposób sztuczny element organizacji w rewolucjach oddolnej aktywności mas. Ideologia ta ma ten zasadniczy mankament, że nie dostrzega tego, co stanowi niewątpliwie najważniejszy fundament leninizmu, decydujący o jego licznych sukcesach. Mianowicie założenie, że rewolucyjne wzburzenie jest tylko wiązką możliwości i problem, kto narzuci im formę, jest centralną kwestią rewolucji, mającą samoistne znaczenie. Tzw. rewolucja „Solidarności” stwarzała możliwości i dla Kuronia, i Michnika, i dla Kowalewskiego – ten ostatni po prostu przegrał. O tym, kto pokieruje rewolucją, walka toczy się na długo przed nią, na kanapach politycznych. To na tych kanapach powstają gremia przywódcze. W tym sensie „komandosi” i Komitet Obrony Robotników, „zawodowi opozycjoniści”, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela itd. są nieodrodnymi dziećmi leninowskich „zawodowych rewolucjonistów”. Jest rzeczą podstawową, że modelem organizacyjnym dla Kuronia i Michnika jest leninowski model „partii nowego typu”, którego Kowalewski (i Siermiński) nie są w stanie zrozumieć.

Można powiedzieć, że nawet pogromcy leninizmu ukazują kluczowe znaczenie Lenina dla kształtowania się historii XX wieku. Warto zwrócić uwagę, że leninowskim śladem swoich nieco starszych żoliborskich kolegów poszli bracia Kaczyńscy, którzy nie mogąc liczyć na międzynarodowe poparcie, zainteresowanie światowych mediów i światowej polityki, które stały się udziałem poprzedników, oparli swoją aktywność na zasobach wewnętrznego resentymentu, fundując nam z czasem obecny reżim.

Patrząc z tej perspektywy należy zwrócić uwagę, że określenia typu „lewica” i „prawica”, którymi szermuje Siermiński, są o tyle chybione, że mówiąc o świecie Kołakowskiego, Kuronia czy Michnika nie mówi on o świecie ludzi ideowych, określających swoje działania przez interesy

grupy, z którą czują się związani, czy wartości, którym służą, ale prawdziwie tolkienowski świat żoliborskich nazghuli, które dla Pierścienia Władzy zrobią wszystko: wynoszonych pod niebiosa robotników poślą na „kuroniówkę”, ochrzczą się po czterdziestce, naplują bez żenady na swoje wczorajsze ołtarze, podeptają swoje wczorajsze ideały, a wczorajsze święte księgi powieszą w toalecie jako papier toaletowy.

Opis tego rodzaju zjawisk politycznych wymaga, poza przewyżczeniem oczywistego obrzydzenia, wypracowania precyzyjnego aparatu pozwalającego uniknąć oskarżeń o tzw. szarganie autorytetów, a jednocześnie ukazać polityczną wielowymiarowość i niejednoznaczność (od moralnej poczynając) zjawiska, albo bezpruderyjnego pióra Bojarskiej, magistrantki Kołakowskiego, autorki wydanej pod pseudonimem Juliusz Nemo książki przedstawiającej martyrologię Józefa Kurasia „Ognia” (Bojarska 1984), inicjującej kult „żołnierzy wyklętych” i w końcu bolesnej satyry na Kuronia i Michnika – „Czego nauczył mnie August” (Bojarska 1995), a więc poziomowi analizy przekraczającego chyba kompetencje nie tylko Siermińskiego, ale i Kowalewskiego, którego „August”, niestety, niczego „nie nauczył”.

Wracając do dokonań Kowalewskiego zwrócić należy uwagę, że wszystkie trzy rozdziały charakteryzuje bardzo swobodny dobór treści. Pierwszy, odwołujący się do wzrostu fali rewolucyjnej u schyłku drugiej wojny, stawia tezę o Powstaniu Warszawskim 1944 roku jako o „masowym zrywie rewolucyjnym”. Ta groteskowa teza, ponoć w ujęciu włoskich trockistów przybrała formę stwierdzenia, że „historia zdrady popełnionej przez Moskwę w Hiszpanii powtórzyła się w Warszawie” (sic!), co zostało sformułowane w artykule „Viva la Comuna de Varsavia” (s. 315)!

Pomijając już fakt, że Powstanie Warszawskie nie było ruchem spontanicznym ani masowym i zostało odgórnie narzucone miastu przez konspiracyjne przywództwo, warto pamiętać o innej kwestii, o której zapomniał Kowalewski. Wydarzenia lat 1944–1945 powtarzały generalnie schemat rewolucyjnej fali lat 1918–1919 kończącej pierwszą wojnę światową. Wtedy też w Polsce trwała walka o władzę i ówczesna „polska demokratyczna rewolucja niepodległościowa” (o której mówi Łepkowski w odniesieniu do lat 1944–1945 – s. 316), trwająca od rządów ludowych do bitwy warszawskiej, zakończyła się demokratyczną kontrrewolucją. W wyniku tych rozgrywek masy ludowe osiągnęły niewiele, natomiast scenariusz Kowalewskiego/Łepkowskiego został przeciwczony z oczywistym skutkiem i naukami na przyszłość. Warto też zwrócić uwagę, na co zwrócił uwagę Andrzej Leder w „Prześlonej rewolucji” (2014), że nawet, żeby w Polsce przeprowadzić reformę rolną w 1944–1945 roku, trzeba było małej wojny domowej, bo sprawa bynajmniej nie była oczywista i mogła się „rozejść po kościach” w wyniku biernego oporu aparatu „ludowej” władzy.

Część druga „Posłowania” wreszcie na koniec wyjaśnia o co chodziło, zdaniem autora, z demokracją robotniczą i „Listem...” Kuronia i Modzelewskiego. Wywód ten prezentuje z perspektywy neotrockistowskiej kwestie, od których cała książka powinna się zacząć. Ukazuje też, czym by była, gdyby zaczęła się od początku. Jakie kwestie zostały zamiecione pod dywan – od światowego wymiaru polskiej historii poczynając.

Trzecia część jest niewątpliwie najbardziej zakłamaną w całej książce. „Droga do marca 68” ma być drogą wchłaniania przez PZPR tradycji polskiego antysemityzmu i nacjonalizmu, który czyni z niej partię niemal faszystowską. Dobór źródeł i argumentacja idą w kierunku całkowitego ignorowania międzynarodowych okoliczności związanych z konfliktem izraelsko-arabskim i konfliktami lojalności wywołanymi przez to, że ZSRR konsekwentnie opowiedziało się po stronie państw arabskich i Palestyńczyków. W końcu zupełnie zignorowany został fakt najbardziej oczywisty: zakwestionowanie przez „komandosów” narodowej legitymizacji PZPR i uderzenie w stosunki polsko-radzieckie.

Marzec '68 rozpoczął się od organizowania antyradzieckich manifestacji na przedstawieniach „arcydramatu narodowego” „Dziady” Adama Mickiewicza. Dla walczącego o zakorzenienie własnego przywództwa w dziejowości Polski Gomułka był to, mówiąc brzydko, ale adekwatnie do sytuacji, „cios w podbrzusze”. W takiej sytuacji każdy może wypaść z roli. W końcu już w „Starym Testamencie” zauważono, że „kto sieje wiatr, zbiera burzę” (Księga Ozeasza 7,8). To, że przy tej okazji wylało się nieco pomyj, nie zmienia faktu, że dla wydarzeń Marca '68 historyczne związki PZPR z antysemityzmem miały drugorzędne znaczenie. PZPR wchłaniała tyle różnych tradycji, postaw i orientacji, że miała więcej „skrzydeł” niż kwartet sześcioskrzydłych serafinów, których śpiewy towarzyszą Panu Bogu przy kolacji. Aktywność jednego wywoływała reakcję innych i sytuacja wyrównywała się bardzo szybko.

„Komandosi” natomiast znaleźli w wydarzeniach marcowych skuteczne narzędzie wpisania się w politykę i legenda „antysemickiej kampanii” stała się kamieniem węgielnym ich dalszej polityki. Wpisywanie się w to mitotwórstwo jest kolejnym ideologicznym elementem konstrukcji, na której opiera się książka.

Podsumowanie

Gdy czytamy książkę Siermińskiego i Kowalewskiego (czy też odwrotnie), jedna rzecz okazuje się uderzająca. Rozziew między tytułem a treścią.

Tytuł mówi o polskiej lewicy opozycyjnej w latach 1968–1980. Treść mówi o ludziach, którzy walcząc o władzę, z „czerwonego tramwaju” wysiedli już przed rokiem 1964, zaś w omawianym okresie mogą być określani już jedynie jako „postlewica” (np. z tytułu posiadania przez

Michnika rodziców – przynajmniej do czasu – komunistów). Cóż lewicowego jest bowiem w rozpętywaniu konfliktu na tle nacjonalistycznym w roku 1968?

Mówienie o prezentowanych postaciach jako o „lewicy” sprawia wrażenie wmawiania tym osobom przysłowiowego „dziecka w brzuch”.

Udowadnianie, że Kołakowski nie jest lewicowcem, kiedy już on sam się od wszelkiej maści lewicy nie tylko w bloku wschodnim, ale również tej krytycznej wobec Wschodu i tej Nowej, radykalnie się odcina, sprawia wrażenie jakiegoś groteskowego *qui pro quo*. Równie sensowne byłoby pisanie o lewicy Gertude Himmelfarb, Allana Blooma, Donalda Trumpa czy Władimira Putina, albo analizowanie ich poglądów na marksizm jako wkładu w jego teoretyczny rozwój.

Podobnie zagadkowe jest analizowanie z tej perspektywy poglądów Michnika i Kuronia. Jediną osobą, którą z lewicą zdaje się łączyć coś więcej niż jakieś zaszłości, jest Modzelewski, ale nie funkcjonuje on w głównym nurcie walki o władzę żoliborskich nazghuli.

Opisywanie tego wszystkiego jako „lewicy” ma jedynie sztucznie wyolbrzymiać znaczenie młodzieńczego, nieudanego eksperymentu politycznego, jakim był „List...”.

Te młodzieńcze „pierwsze koty za płoty” mają być czymś, co zapowiedziało „rewolucję” „Solidarności” i do dzisiaj określać ma tożsamość współczesnej polskiej lewicy. „Zdrada”, której wobec „swojego dziecka” dopuścili się Kołakowski, Kuroń, Michnik, Modzelewski, ma mieć charakter owego sprzeniewierzenia rewolucyjnym ideałom, które popychało Kuronia do pacyfikacji nastrojów w latach 1981 i powstrzymywaniu rewolucyjnego potencjału „Solidarności” oraz odsuwanie od wpływu na ruch solidarnościowy takich rewolucjonistów jak Kowalewski.

Ponieważ nie wszyscy czytelnicy książki Siermińskiego i Kowalewskiego znają szerzej ich dorobek, mogą nie wiedzieć, co nas w 1980 roku ominęło razem z eliminacją „człowieka wielkiej idei i wielkiego czynu, wybitnego znawcy historii ruchów wyzwolenicznych”, czyli Kowalewskiego, z „Solidarności”, pozwolę sobie zaprezentować jego sposób rozumienia rewolucji zaprezentowany przy okazji dyskusji o „rzezi wołyńskiej”:

„Aż prosi się o wyciągnięcie prostego, zaiste, wniosku: niezwykle mordercza »akcja antypolska« UPA nie wynikała z tego, że ukraiński ruch narodowy przyjął jakieś szczególne formy szowinistyczne, lecz była częściowo żywiołową, a częściowo zorganizowaną i kierowaną przez nacjonalistów, reakcją chłopstwa ukraińskiego zagrożonego »głęboką ludobójczą strukturą logiki eliminacji«, w którą nośny był polski kolonializm osadniczy. »Chłopi ukraińscy, nauczeni doświadczeniami okresu międzywojennego, pragnęli zniszczyć polską obecność doszczętnie. Nie ograniczali się bowiem do grabieży i palenia dawnych 'gniazd' rodowych polskich ziemian, budynków osadników czy też chałup swoich sąsiadów – chłopów polskich. Zazwyczaj

nie oszczędzali ni dorosłych, ni ‘piskląt’, by wracać nie było ani dokąd, ani komu.” Takie zjawisko jest znane z dziejów chłopskich powstań antykolonialnych. Prof. Leonid Zaszkiłniak bardzo słusznie wskazuje, że o ludobójstwie nie może być mowy bez udziału aparatu państwowego i bez jego monopolu na przemoc oraz, że »pod definicję ludobójstwa nie podpadają antykolonialne wystąpienia narodów«. Dodam do tego pewną myśl własną, którą wysoko ocenili tacy historycy ukraińscy jak Jarosław Daszkewycz i Bohdan Hud: »Nawet jeśli przyjmiemy z grubsza, że w latach wojny wśród polskiej ludności [konflikt ten pochłonął trzy razy więcej ofiar niż wśród ludności ukraińskiej], to nie powinniśmy zapominać, że z jednej strony było dążenie do utrzymania panowania, a z drugiej – do jego obalenia. Jeśli ruch wyzwolenczy narodu uciskanego dopuszcza się zbrodni na narodzie panującym, to przyczyną jest ucisk narodowy, a nie wola wyzwolenia się spod niego«” (Kowalewski 2014: 8).

Niestety, jak widać ominęła nas prawdziwa rewolucja antybiurokracyjna, nie wahająca się swoich rewolucyjnych konsekwencji, ku którym Kowalewski poprowadziłby uciśnioną klasę robotniczą, gdyby tylko miał szansę. (Co prawda, rzetelny krytyk zauważyłby, że apoteoza „rzezi wołyńskiej” to jedynie efekt jakiejś organicznej niezdolności cytowanego autora do jakiejkolwiek obiektywizacji własnych przekonań, ale dlaczego recenzent musi być zawsze obiektywny?).

Można powiedzieć, że żarty żartami, ale problem tradycji polskiej lewicy pozostaje nadal problemem nieprzepracowanym. Jedno jest pewne, że przed rokiem 1989 skupiała się ona wokół PZPR. Po roku 1989 była ona „postpezetpeerowska” i tego faktu też nie sposób wymazać. Z PZPR, jak pokazuje nawet opracowanie Siermińskiego, droga prowadziła na „drugą stronę mocy” na pozycje antylewicowe i prokapitalistyczne. Trockistowski folklor może budzić sympatię – jak w przypadku zmarłego akis czas temu Ludwika Hassa – może budzić zgrozę – jak w przypadku Kowalewskiego – ale żadnej alternatywy nie zawiera.

Jaka będzie polska lewica, o tym nie decyduje przeszłość, a już na pewno nie stosunek do spadkobierców „komandosów”, niezależnie od tego, jak dużymi środkami i wpływami, by nie dysponowali. Lewicowe hasła i ludzie lewicy w ich rękach stanowili zawsze jedynie obiekt cynicznej manipulacji, której uwieńczeniem był „plan Balcerowicza” i „wygotowanie polskiego robotnika w neoliberalnym kotle”. Również lewica postpezetpeerowska zapłaciła bardzo wysoką cenę za uleganie neoliberalnej demagogii kręgów „komandosów”, ustalających „komu ile wolno”.

Najbardziej ponurym efektem tej demagogii jest zaszczepianie młodzieży przekonania, że PRL to były rządy jakichś „kremlowskich sługusów Putina”, które z żadną lewicą nigdy nie miały nic wspólnego bo gdzieżby. Była jakaś wstrętne pseudolewica jakichś „komuchów”, rządy satrapy Gomułki, której dzieje wiernie dokumentowała „niejaka” Bareja. (Jak się ma jakieś wątpliwości, to należy sięgnąć do Barei, żeby zobaczyć

jak było naprawdę, bo zdaniem wielu internautów kręcił on dokumenty). W tym ponurym strasznym świecie jedyną nadzieją byli Kuroń i Michnik, którzy w 1964 roku stworzyli w Polsce „nową (prawdziwą) lewicę”. Trzeba przyznać Siermińskiemu, że zaczął przeżywać kryzys wiary w bociany z „Gazety Wyborczej”, niestety znalazł „autorytet”, który odpowiedział mu, żeby szukał wyjaśnienia w poszukiwaniach w kapuście.

Reasumując, lewica w Polsce straciła już prawie wszystko co mogła. Ten kto nie ma nic, ma do zdobycia cały świat, pod warunkiem jednak, że potrafi spojrzeć nań bez złudzeń i końskich okularów. Inaczej podzieli los Pinokia udającego się w towarzystwie starych dobrych „autorytetów” na „Pole Cudów”: jak to zdarzyło się Siermińskiemu i – niestety – nie tylko jemu.

Bibliografia

- Barbrook R. (2009). *Przyszłości wyobrażone. Od myślącej maszyny do globalnej wioski*. Warszawa: Muza.
- Bojarska A. [pod pseudonimem „Juliusz Nemo”] (1984). *Śmierć „Ognia”*. Warszawa: CDN.
- Bojarska A. (1995). *Czego nauczył mnie August*. Warszawa: Polski Dom Wydawniczy.
- Brecht B. (1979) *Ten który mówi tak i ten który mówi nie*. [w:] Brecht B. *Dramaty*, t. 2. Warszawa: PIW.
- Brecht B. (2008). *Decyzja*. [w:] Brecht B., Müller H. *Decyzja. Mauzer*. Kraków: Panga Pank.
- Debord G. (2006). *Spółczesność spektaklu oraz Rozważania o społeczeństwie spektaklu*. Warszawa: PIW.
- Guibault S. (1992). *Jak Nowy Jork ukradł ideę sztuki nowoczesnej: Ekspresjonizm abstrakcyjny, wolność i zimna wojna*. Warszawa: Hotel Sztuki
- Koestler A. (1990). *Ciemność w południe*. Warszawa: PIW.
- Kowalewski Z. M. (2014). *Między wojną o historię a wyprawami kijowskimi*. „Le Monde diplomatique – edycja polska”, 1 (95).
- Kozłowski M. (2016). *Rebelia a przełom*. „Bez Dogmatu”, nr 4 (110).
- Leder A., (2014) *Prześlona rewolucja, Ćwiczenie z Logiki Historycznej*. Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej,
- „List otwarty” Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego (2008). [w:] Dąbrowski F., Gontarczyk P., Tomasik P. *Marzec 1968 w dokumentach MSW*, t. 1, Warszawa: IPN, 485-548.
- Siermiński M. (2015). *Leszka Kołakowskiego słuszne poglądy na wszystko*. „Bez Dogmatu”, 3 (105).
- Siermiński M. (2016). *Dekada przełomu. Polska lewica opozycyjna 1968-1980. Od demokracji robotniczej do narodowego paternalizmu*. Warszawa: Książka i Prasa.
- Strugacki A., Strugacki B. (1974.) *Trudno być bogiem*. Warszawa: Iskry.
- Szydłowski R. (1973). *Bertold Brecht*. Warszawa Wiedza Powszechna
- Ważyk A. (1982). *Poemat dla dorosłych*. [w:] Ważyk A. *Wiersze wybrane*. Warszawa Czytelnik, 119-129.
- Znaniński F. (2013). *Upadek cywilizacji zachodniej*. Warszawa: Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego.